

Czarne chmury nad Dniestrem – 1

17 września 2017

MANEWRY

Jeden z najmniejszych i najbiedniejszych krajów w Europie, zagrożony katastrofą demograficzną, staje w obliczu kolejnego kryzysu wewnętrznego. Prorosyjski prezydent Mołdawii Igor Dodon i nieformalny lider rządzącej, w teorii proeuropejskiej koalicji, Vlad Plahotniuc toczą wojnę na gesty i słowa. Opozycyjne „trzecie siły”, zarówno te patrzące w stronę Brukseli, jak i Moskwy, twierdzą, że to tylko wyjątkowo perfidne przedstawienie. Ale wszyscy są zgodni co do jednego: nie są wykluczone nowe protesty uliczne, niekoniecznie zupełnie pokojowe. Ich przebiegu nie da się przewidzieć.

Zaczęło się od manewrów. A dokładnie od tego, że mołdawska delegacja miała udać się na międzynarodowe ćwiczenia pod egidą NATO. Rapid Trident 2017 przewidziano na ok. 2500 żołnierzy. Mołdawianzaledwie pięćdziesięciu siedmiu, ale nie o to chodzi. Liczy się symbol – a w tym regionie i w tych czasach nie można w bardziej oczywisty sposób zasygnalizować prozachodniego (a więc antyrosyjskiego) kursu, niż przyjeżdżając na NATO-wskie manewry. Tym bardziej, jeśli państwo ma zapisaną w konstytucji wieczystą neutralność – tak, jak Mołdawia w 11. artykule swojej ustawy zasadniczej.

Prezydent Igor Dodon, który z poprawy stosunków z Rosją uczynił główne hasło swojej kampanii wyborczej i obecnego urzędowania, zakazał żołnierzom wyjazdu. Powołał się na swoje prerogatywy naczelnego dowódcy sił zbrojnych. Rząd, który z kolei mieni się proeuropejskim, oznajmił, że Dodon przekroczył uprawnienia. Żołnierze na Ukrainę pojechali, chociaż prezydent zapowiedział, że po powrocie, planowanym na 23 września, zostaną ukarani. Jeszcze jednak przed tą datą konflikt nabrał

tempa, po tym, jak 12 września Mołdawianie dowiedzieli się się, kogo rząd chce widzieć na wakującym od grudnia stanowisku ministra obrony.

Nazwisko kandydata ogłosił, wbrew wszelkim procedurom, nie premier Pavel Filip, a prawdziwy patron i szef rządu – potężny oligarcha Vlad Plahotniuc, teoretycznie jedynie lider największej w koalicji Partii Demokratycznej. Ale jeszcze większym kuriozum jest sam kandydat, bo 32-letni Eugen Sturza nie ma żadnego doświadczenia związanego z wojskiem. W 2009 r., zaledwie rok po ukończeniu studiów ekonomicznych na prywatnej uczelni w Kiszyniowie, został doradcą ówczesnego premiera Vlada Filata. „Doradzał”, nie mając żadnego doświadczenia zawodowego i życiowego. Za to w 2013 r., kiedy rząd Filata upadał (za sprawą intryg Plahotniuka), zachował się nad wyraz przytomnie. Przyłączył się do ekipy nowego premiera Iurie Leanki, który zrobił go szefem gabinetu. Ten rząd przetrwał dwa lata, w 2015 r. upadł, znowu za sprawą machinacji Plahotniuka. Sturza udzielał się również w organizacjach pozarządowych: z jego ostatniej deklaracji majątkowej z marca 2015 r. wynika, że zarobił ponad 270 tys. lejów mołdawskich (po obecnym kursie niecałe 55 tys. złotych) jako „moderator reformy systemu publicznego” w proeuropejskim Instytucie na rzecz Polityki i Reform Europejskich. Dalsze 300 tys. lejów zapłacono mu za badania zlecone przez Instytut Polityki Europejskiej z Niemiec. Jak na kiszyniowskie standardy wynik godny pozazdrosczenia, zważywszy na fakt, że w ostatnich latach integracja europejska Mołdawii nie robiła doprawdy żadnych postępów. O wdrażaniu zachodnich wzorców w ogóle nie warto wspominać.

Igor Dodon oznajmił: nie zgodzę się, by na czele resortu obrony stanął „grantowy chłopiec”. Przedstawił własnego kandydata, Victora Gaiciuca, generała lotnictwa, absolwenta Akademii Wojskowych w Charkowie i Moskwie, a następnie kursów NATO, ministra obrony w rządzie Vasile Tarleva w latach 2001-2004. Ten natychmiast wygłosił oświadczenie, w którym

zapowiedział, że pod jego kierownictwem resort na żadne manewry mołdawskich żołnierzy nie wyśle. Na ripostę długo czekać nie trzeba było – tym razem premier Pavel Filip oznajmił, że kandydatura Sturzy zostanie jednak przedstawiona parlamentowi. Do tego doszły czyny bardziej znaczące niż słowa – 12 września gabinet Filipa podpisał Indywidualny Plan Działań Partnerstwa z NATO na lata 2017-2019. Zakłada on, obok dalszej modernizacji wojska, m. in. regularne organizowanie konsultacji dwustronnych na tematy bezpieczeństwa i obronności.

Na tym nie koniec. Na briefingu dla prasy Vlad Plahotniuc zapowiedział, że jego partia podejmie działania na rzecz zmiany konstytucji – w ustawie zasadniczej miałyby znaleźć się zapis o tym, że strategicznym kierunkiem rozwoju Mołdawii jest integracja europejska. Powołał się na orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego z 2014 r., w którym stwierdzono, że proeuropejskość to jeden z elementów definiujących Mołdawię jako taką. Płynie z ust Plahotniuka wyjątkowy cynizm: w 2014 r. Trybunał był już całkowicie kontrolowany przez jego ludzi, orzekał tak, jak było potrzebne oligarsze. Nazwisko prezydenta nie pada, ale nikt nie ma wątpliwości, kogo ma na myśli „demokrata”, gdy mówi o potrzebie uznania przez wszystkich europejskiego priorytetu.

Dodon i tym razem nie zwlekał z odpowiedzią. Też zwołał konferencję prasową.

– O geopolitycznym kursie kraju nie może decydować jedna czy druga partia. To obywatele Mołdawii mogą o tym decydować w referendum. Jeśli Partia Demokratyczna będzie upierać się przy swoim, nie będę miał wyjścia i zgodnie z konstytucją zainicjuję referendum konsultacyjne w tej sprawie. I, proszę uwierzyć, ludzie nie zagłosują za integracją europejską – mówił 13 września.

W siedzibie Partii Socjalistów Republiki Mołdawii (PSRM) przy kiszyniowskiej ulicy Columna nie mają wątpliwości. Dodon

człowiekiem Plahotniuka? Układ? Udawane różnice zdań? Nigdy!

Podział społeczeństwa Mołdawii na dwa obozy, proeuropejski i prorosyjski, to fakt nie do podważenia, mówi Władimir Bukarski, jeden z analityków PSRM. Obie grupy są liczebnie praktycznie równe. Zwolennicy integracji europejskiej widzą miejsce Mołdawii na Zachodzie, spodziewają się, że zacieśnianie więzi z Unią Europejską i ostatecznie wejście do niej otworzy przed państwem nowe perspektywy. Drugi obóz nie wierzy w żadną eurointegrację, bo widzi, że chociaż od blisko dekady rządzą partie, które mają ją na sztandarach, państwo jest raczej doprowadzane do ruiny niż reformowane, a UE niewiele robi, by polepszył się los zwykłych Mołdawian. W pierwszym obozie częściej są ludzie wykształceni, wykładowcy akademicki, część studentów. W drugim – raczej mieszkańcy mniejszych ośrodków, ci, w których najsilniej uderzyła brutalna transformacja. Na to nakłada się podział etniczny – Mołdawia nie jest jednorodna, na 75 proc. Mołdawian i 7 proc. osób deklarujących narodowość rumuńską wypada 18 proc. mozaiki różnych mniejszości: Ukraińców, Rosjan, Gagauzów, Bułgarów, Romów. A że zamieszkują one zwarte obszary lub koncentrują się, poważnymi grupami w miastach, łatwiej im się organizować, trwać przy własnej tożsamości – i pielęgnować nieufność wobec rządu w Kiszyniowie. Gagauzi i Bułgarzy, przykładowo, do dziś pamiętają, jak na początku lat 90. wykuwające się nowe władze na chwilę przyklasnęły nacjonalizmowi, pomysłem przymusowej rumunizacji. Dlatego dziś Mołdawia ma całe rejony, na południu i na północy, gdzie prorosyjskie sympatie nie podlegają dyskusji.

Widać te podziały na mapach wyników wyborczych. Na przykład na najświeższej, z wyborów prezydenckich, w których Dodon wygrał z proeuropejską Maią Sandu. Przegrana polityk zebrała swoje 47,89 proc. w Kiszyniowie i rejonach centralnych oraz tych rejonach południowych, gdzie dominują etniczni Mołdawianie. Na ziemiach zamieszkanym przez Gagauzów i Bułgarów, w rejonach północnych, gdzie znaczny procent mieszkańców mówi po

rosyjsku, to lider socjalistów zbierał zdecydowaną większość, nawet po 96-98 proc. głosów. Wyniki wyborów parlamentarnych z 2014 r. – podobnie. W centrum i w mołdawskich rejonach południa – na pierwszym miejscu Partia Liberalno-Demokratyczna albo Partia Demokratyczna, przedstawiciele Sojuszu na rzecz Integracji Europejskiej. Północ – za socjalistami albo komunistami. I tylko w Kiszyniowie w 2014 r. opozycyjnej lewicy udało się wyprzedzić rząd, by dwa lata później przegrać; w stolicy Dodon zdobył większość głosów jedynie w okręgu Botanica, na potężnym poradzieckim robotniczym osiedlu zabudowanym kruszącymi się już, od lat nieremontowanymi blokami.

Socjaliści powtarzają: w tamtych wyborach media bezpośrednio należące do Plahotniuka lub po prostu prorządowe (czyli większość liczących się środków masowego przekazu) uruchomiły przeciwko Dodonowi potężną kampanię negatywną. Ta kampania trwa do dzisiaj, prezydent jest bezpardonowo atakowany, czegokolwiek by nie zrobił, słyszę od Bogdana Țîrdei, politologa, współautora demaskatorskiej pracy „Oligarchiczna Mołdawia”. Sprawdzam w internecie, przykładów daleko szukać nie trzeba: choćby dziennik „Timpul”, kulturalny, liberalny, proeuropejski, ogłosił 4 września start akcji pod jednoznacznym hasłem „Precz z Dodonem”. Gdyby ktoś przegapił, informacja o niej jest ciągle wyświetlana na stronie gazety na górnym pasku najświeższych wiadomości. Także propaganda na rzecz integracji europejskiej, odwracająca uwagę od tego, że tak naprawdę Mołdawia wcale się do Europy nie zbliża, nie ustaje choćby na chwilę – komentuje Władimir Bukarski. Wybory i czas urzędowania Dodona to wojna na wyniszczenie, nie współpraca, choćby zawoalowana.

W przeciwnym obozie konsekwentnie twierdzą co innego. Dlaczego Vlad Plahotniuc, za pośrednictwem kontrolowanych organów władzy sprawił, że z listy kandydatów na prezydenta wyleciał, pod pretekstem młodego wieku, coraz popularniejszy Renato Usatîi? Dzięki temu Dodon pozostał na placu boju jako jedyny

poważny prorosyjski kandydat, łatwo mu było konsolidować elektorat. Mihai Popșoi, analityk związany z Partią Działania i Solidarności, formacją Mai Sandu (krótco po naszym spotkaniu zostanie wybrany na jej wiceprzewodniczącego), przekonuje, że taki kandydat był Plahotniukowi potrzebny, bo obywatele i tak nie zagłosowaliby na człowieka związanego z rządem czy deklarującego kontynuowanie jego linii.

Ludzie tacy jak Vlad Filat (były premier, skazany na więzienie za korupcję) czy sam Plahotniuc skompromitowali ideę integracji europejskiej, mówi Popșoi. Potężny oligarcha ukrył się zatem szczelnie w cieniu i dał więc Mołdawianom pozór zmiany, prezydenta, który miał szansę spodobać się większości. Nie posunął się może do sfałszowania wyborów wprost, ale na pewno pomagał. Ułatwił zwiezienie autobusami prorosyjskich wyborców z Naddniestrza, z racji obywatelstwa uprawnionych do głosowania w Mołdawii, byle tylko dotarli do lokali wyborczych i poparli Dodona. Dziwnym trafem również liczne utrudnienia spotkały wyborców-emigrantów, głosujących w ambasadach: stali godzinami w kolejkach, w przynajmniej kilku przypadkach dowiedzieli się, że karty do głosowania się skończyły. A wśród Mołdawian za granicą to Sandu cieszyła się większą popularnością. Wreszcie to w Sandu wymierzono najgłośniejszego fake newsa całej kampanii: jedno z mediów Plahotniuka podało, że kandydatka dogadała się z Angelą Merkel w sprawie relokacji uchodźców, zadeklarowała, że Mołdawia przyjmie trzy tysiące muzułmanów. W kraju, gdzie nawet lewica podkreśla przywiązanie do wiary prawosławnej wyznawanej wedle sondaży przez ponad 80 proc. mieszkańców, wiadomość wywarła potężne wrażenie, dementi nic nie dało.

Cynizm Plahotniuka doszedł do takiego poziomu, mówi Popșoi, że z jednej strony przygotowuje on ustawę wymierzoną w rosyjską propagandę, z drugiej zaś sam, za pośrednictwem wybranych mediów, serwuje Mołdawianom jej tezy. Nie waha się podkreślać w mniejszościach etnicznych poczucia zagrożenia, strachu przed skrajną prawicą i nacjonalizmem. Dodon od początku wpisuje się

w jego grę, razem z oligarchą utworzył polityczny kartel, nakręca „wielki spór geopolityczny”, pozorowaną dyskusję, która do niczego nie doprowadzi.

Przedstawiciel Partii Działania i Solidarności przyznaje: nie mamy bezpośrednich dowodów na to, że Dodon i Plahotniuc zawarli układ. Mamy jedynie nadzieję, że w końcu jeden i drugi zagrają w otwarte karty i ich powiązania zostaną ujawnione. Ale kolejną mocną przesłanką jest według nas reforma systemu wyborczego. Dotychczasowy, proporcjonalny, był korzystny dla socjalistów, to oni prowadzą w sondażach, przejście na system mieszany może dla nich oznaczać stratę nawet 25 miejsc. Dlaczego Dodon się na to zgodził? Czy nie dlatego, by podzielić scenę polityczną między fałszywych rywali – socjalistów i demokratów, a nas, prawdziwą opozycję, wyciąć? Brak nam jeszcze silnych struktur w terenie, poza Kiszyniowem, a to oznacza brak szans na dobry wynik. Tym bardziej, jeśli konkurenci dogadają się w kuluarach.

Socjaliści wruszają ramionami na te zarzuty. Argumentują, że podjęta decyzja nie musi wcale okazać się niekorzystna dla partii. To prawda, w jednomandatowych okręgach liczą się osobowości, a takie Plahotniuc może promować z powodzeniem za pomocą przychylnych sobie mediów, przyznaje Bukarski. Ale z drugiej strony – w szeregach socjalistów też są osoby, które swoim profesjonalizmem i gotowością do pracy na rzecz ludzi mogą zjednać wyborców. Bogdan Țîrdea podważa zarzuty o układzie Dodon-Plahotniuc z innej strony, przypominając o tym, jak wiele spotkań odbył prezydent Mołdawii z Władimirem Putinem. Czy rosyjski przywódca podchodziłby poważnie do głowy państwa, która jest tylko marionetką, a w dodatku wprowadza w błąd elektorat przyjazny Moskwie? Czy z takim prezydentem układałby się w sprawie migracyjnej amnestii dla Mołdawian, którzy podjęli pracę w Rosji bez wymaganych zezwoleń? A przecież takie porozumienie zawarto, dając 200 tys. migrantów ekonomicznych szansę na zalegalizowanie pobytu. Nie trzeba tłumaczyć, ile to znaczy dla ich rodzin, jak i dla całej

Mołdawii, która faktycznie żyje z pracy gastarbeiterów.

Tymczasem Partia Działania i Solidarności atakuje głośno i bezpardonowo. W dzień niepodległości Mołdawii, 27 sierpnia, Maia Sandu publikuje deklarację, w której „w imieniu obywateli kraju” nazywa prezydenta zdrajcą. Na liście ośmiu oskarżeń wylicza m.in. przyjęcie wasalnej zależności od Rosji, wspieranie lokalnych separatyzmów, dążenie do wojny domowej, odbieranie Mołdawianom szans na lepsze życie.

– Czy nie ma w tym wyjątkowej manipulacji? – pyta Bogdan Țîrdea. – Maia Sandu nieustannie mówi, że walczy z oligarchą, który zawładnął wszystkimi instytucjami w tym państwie. Ale najsilniej uderza nie w samego Plahotniuka, ale w Dodona. W dodatku chce, żeby działania prezydenta badała... właśnie jedna z tych zawłaszczonych instytucji. Gdzie tu logika? Poza tym to Sandu była ministrem w jednym z gabinetów spod znaku integracji europejskiej. Tych gabinetów, które nic nie poprawiły w życiu zwykłych Mołdawian, a ideę integracji kompromitowały, przyzwalając na korupcję, wzrost wpływów oligarchów i „rozpływanie się” unijnych funduszy.

Țîrdea nie ma wątpliwości: gdyby partia Sandu dostała szansę stworzenia rządu razem z Partią Demokratyczną, skorzystałaby z niej. Nic nie zostałoby po krytyce oligarchy, zwłaszcza, że oboje nie działają zupełnie samodzielnie. Ich poczynaniom przyglądają się Unia i Stany Zjednoczone. Zadbalyby, żeby jedni i drudzy demokraci podali sobie ręce, a socjaliści znowu nie utworzyli rządu.

Pytam Popșoia, czy Partia Działania i Solidarności zdecydowałaby się na koalicyjny scenariusz.

– Jesteśmy otwarci na współpracę z Demokratami, ale pod warunkiem, że partia nie będzie kontrolowana przez Plahotniuka. Wiele szeregowych członków tej organizacji szczerze wierzy w europejskie wartości. Oni też cierpią na tym, jak sponsor partii manipuluje, nakręca konflikty,

traktuje wszelkie hasła instrumentalnie.

Na razie jednak polityk i analityk nie szczędzi Demokratom krytyki. 15 września mówi podczas publicznej debaty, że ich walka z korupcją przypominała zachowanie rybaka, który po złowieniu ryby z dumą fotografuje zdobycz, a potem wrzuca ją z powrotem do wody. A Maia Sandu pokazuje się w towarzystwie Andreia Năstase, lidera platformy „Godność i Prawda” (Demnitate si Adevar, w skrócie DA), obywatelskiego ruchu proeuropejskiego, w ostatnich latach organizującego w centrum Kiszyniowa protesty „za prawdziwą integracją europejską”. Năstase chce przed przyszłorocznymi wyborami zacieśnić współpracę z Sandu, a na razie wyprowadza ludzi na ulice pod hasłem sprzeciwu wobec „rządów tandemu Plahotniuka i Dodona”. Odświeża także stare hasła integracyjne, bo procent wierzących, że jest sens nadal iść tą drogą, spadł do ok. 38, a jeszcze dekadę temu była to większość absolutna – ponad 70 proc. Mocna tożsamość protestującym będzie potrzebna, bo partia socjalistów nie zamierza tylko przyglądać się atakom na Dodona. Też wyprowadzi ludzi na ulice i też rzuci hasła przeciwko Plahotniukowi oraz fałszywej opozycji. A i sam prezydent nie zasypia gruszek w popiele. 15 września zasugerował, że sam zwoła ludzi do masowego wyjścia na ulice, jeśli Partia Demokratyczna (czytaj: Plahotniuc) nie przestanie eskalować napięć w kraju.

W obu konkurencyjnych obozach przyznają: sytuacja może wymknąć się spod kontroli. Jest rok przedwyborczy, wycofanie się z raz rzuconych haseł, ustąpienie choćby na krok byłoby oznaką słabości.

Autorstwo: Małgorzata Kulbaczevska-Figat

Źródło: Strajk.eu